Rotenberg Milczeć Polacy.

SŁÓW KILKORO
W KWESTJI ŻYDOWSKIEJ.

MILCZEĆ

POLACY!

Tak powiada pan Moryc Rothenberg.



Nakładem Stefana Szyld.

Warszawa, ulica Krucza 32.

DRUK. E. NICZ I SP. WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 70.

Milczeć Polacy!

Milczeć! jedno krótkie słówko, pełne jednak dosadności, stosowane u nas było zazwyczaj przez ludzi wyższego stanu, względem niżej położonych na drabinie społecznej. *Milczeć!...* stosowano i względem nas tyle razy, a to za pośrednictwem wszelkiego rodzaju władz administracyjnych i cenzuralnych, żeśmy mieli czas się do tego przyzwyczaić...

Ale żeby wyrażenia tego do nas używał p. Moryc Rothenberg, żeby nabierał względem nas tonu, jaki myśmy zwykle w stosunku do niego i jego współwyznawców używali, to właśnie dla nas jest niezwykłe...

Musi on chyba mieć specjalne podstawy, na zasadzie których je używa.

Bo to nie jest zwykła arogancja litwacka, nakazująca mu występować z „pichą", to nie zwykły nawet odruch oburzenia na napaści prasy antysemickiej, to na logicznych faktach zbudowane przedstawienie całego stanu rzeczy, całej obecnej sytuacji kwestji żydowskiej u nas.

Posłuchajmy zatem pełnych siły i wyrazu, a zarazem i prawdy słów pana Moryca Rothenberga.

Milczeć!...

Tak się zaczyna pełen elokwencji list jego,

przesłany do redakcji „Wiadomości Codziennych", a potem pisze on co następuje:

„Panie Redaktorze! Współpracownik Redakcji, p. Stanko, potrzebował napisać głupi artykuł zaczepny przeciwko żydom, żałując, że nie zna języka żydowskiego, gdyż częściejby was częstował przekładami z pism żydowskich. Bardzo mu na tem zależy i chciałby się nauczyć, ale nie ma czasu, bo jest przepracowany.

Wy, biedni chrześcianie, wszyscy jesteście bardzo przepracowani i dlatego nic nie umiecie, tylko żydkowie próżnują, ale się od biedy po polsku nauczyli. Ale nie o to idzie. Idzie głównie o to, ażeby was wyleczyć z maligny asymilacyjnej, z żebraniny u żydów i z pogróżek przeciwko żydom, jeśli się z wami nie połączą narodowo. Napadacie w swoich gazetach na p. Jackana, a ja i każdy uczciwy żyd musi wam stwierdzić, że on tylko to pisze, co każdy, niby zasymilowany, t. j. dobry polak wyznania mojżeszowego czuje i myśli. Pozostańcie wy tem, czem jesteście—my, żydzi, jak byliśmy dotąd, tak i do ostatka zostaniemy żydami z religii i narodowości. Z wami się łączyć nie myślimy i nie będziemy nigdy, bo kraj cały finansowo i przemysłowo do nas należy, wszystkie warstwy narodu waszego, od najwyższych do najniższych, w naszem znajdują się ręku.

Przestańcie szerzyć antysemityzm bezowocnie. Naród wasz cały ciemny, biedny i wiecznie pijany, a przytem bezrozumny—możemy przeto dać się wam

we znaki. Lepiej więc będzie: milczeć, milczeć i milczeć, bo dach nad głowami waszemi, chleb codzienny, mąka, kasza, nafta, węgiel i mięso trefne i inne wszystkie potrzeby do życia niezbędne—w naszych są rękach, a wobec częstych napaści na nas, możemy ceny na nie podnieść o 50 proc. Przecież wy na tem nic nie zarobicie, tylko my, żydkowie i zamiast wy nas—to my was wypędzimy bez żadnego pogromu na cztery wiatry. Milczcie zatem, jak drewniane ścięte pnie w lesie, dopóki nie spróchniejecie w milczeniu.

Awantura żadna na nic wam się nie przyda. Rozumu wam Bóg i Król nasz nie dał—tylko nam; na rozhukane bydło mamy bat, a batem tym jest rubel, a chociaż wy macie twarde kopyta i ostre rogi, to my jeśli dotąd potrafiliśmy sobie z wami radzić na swoją korzyść, to tembardziej teraz, gdy wy już nic nie znaczycie nietylko dla nas żydów, ale nawet pomiędzy sobą jesteście bezwładnymi klocami próchna. *Moryc Rothenberg*".

Ładny list, prawda?... Pan Moryc Rothenberg powinien porzucić handel, który zapewne służy za karmiciela dla niego i dla rodziny jego, i wziąć się do pisania artykułów wstępnych w którem z pism żargonowych... Złote artykuły, złote słowa, na wagę tego kruszcu powinny być płacone...

Lecz co tam... to wszystko głupstwo... *ganz pomade,* jak mówią współwyznawcy pana Moryca Rothenberga...

Rozpatrzmy tą kwestję z punktu widzenia trzech stron zainteresowanych, to jest naszej, ży-

dowskiej i litwackiej, a z tego wszystkiego ostateczną wyciągniemy konkluzję.

My:

A to zuchwalec, jak on śmiał coś podobnego napisać, my mamy milczeć, on nam grozi, ten jakiś wstrętny przybłęda, który dzięki tolerancji króla Kazimierza Wielkiego znalazł gościnność na naszej ziemi... Nie, to zgroza, to coś strasznego, do czego to dochodzi... Trzeba się bronić, trzeba się nie dać... Zaraz należy obmyśleć akcję ratunkową... A to oburzające!.. I to ci poczciwi żydzi, których my za swoich, za polaków uważamy...

Natychmiast trzeba urządzić komitet obrony przed najazdem żydów... Hrabia X. będzie prezesem, mecenas Z. wiceprezesem, a członków trzeba zaprosić jaknajwięcej... Czem więcej, tem lepiej... Urządzi się parę posiedzeń, wygłosi parę mówek, potem kolacyjka, wreszcie: „kochajmy się!" i akcja przeciw żydom rozpoczęta...

A to zuchwalec!... Dobrze, że otworzył nam oczy... Do czynu zatem, a przedewszystkiem:

Nie kupujmy nic u żydów!...

Tak, Nalewki niech opustoszeją, niech do sklepów żydowskich nikt nie chodzi, niech omija je zdaleka, jak dotknięte zarazą...

Co?... w żydowskich sklepach można się wytargować, dostać o parę groszy taniej... No, nad tem warto się zastanowić... Wiesz co, Maniu, Julciu, Lodziu, Fruziu, Helciu, Zosiu... Idźcie już tam do nich, tylko ostrożnie, żeby nikt nie widział, bo wiedzcie, że *ja* należę do komitetu bojkotującego żydów... A i Marjanna niech tam ostrożnie w sklepiku bierze u żyda, bo jakby kto zobaczył, mógłby być krzyk... Daje on na książkę, kiedy ci chrześcijanie zrobić tego nie chcą... I zawsze tam choć grosz opuści...

A bierzcie tam i więcej, tylko ostrożnie, pocichu, żeby nikt nie widział, bo ja należę do komitetu bojkotującego żydów a zatem:

Precz z niewolą żydowską!...
Nie kupujmy nic u żydów!...
Pokażmy im, co możemy!...

*
* *

Gabinet, urządzony z przepychem iście magnackim... Gospodarz, młody hrabia, magnat, posiadacz paru powiatów — gość, inżynier, zdolny, energiczny, przybyły niedawno co z zagranicy...

— Panie hrabio, interes jest świetny... Można dobrze zarobić.. a przytem całą połać kraju się dźwignie, podniesie się handel i przemysł, krocie wydrze się z rąk Niemców i Żydów...

— Phi... to dla mnie nie interes... Nie mam teraz pieniędzy, ażeby pakować je w fabryki i temu podobne głupstwa... Niech inni to robią... Idż pan do tego bankiera Rubelberga... On panu da...

— Ale, kiedy panie hrabio, mnie idzie o to, ażeby przemysł nasz wydrzeć z rąk żydowskich... A pan hrabia...

— A cóż ja panu poradzę... jestem teraz bardzo zajęty, niemam czasu zajmować się teraz interesami...

— A cóż pan hrabia teraz przedsięwziął...

— Buduję, panie, teatr... Mówię panu, będzie coś wspaniałego... Warszawa nic podobnego jeszcze nie widziała... Europa, mówię panu, Europa... Gmach, przed którym wszyscy gęby rozdziawią... powiadam panu...

— I ileż to pana hrabiego ta zabawka kosztuje?...

— Phi... Coś koło miljona... Sam dokładnie

nie wiem... Ten poczciwy Szachrajman wszystkiem się zajmuje.

* *
*

— Panowie!.. trzeba coś zrobić dla kraju... trzeba coś uczynić dla podniesienia przemysłu i handlu... Panowie, kapitały się u nas marynują, leżąc na marne parę procent, skupmy je w jedną całość, i zacznijmy jaki interes, który by dał dochód i który by pozwolił nam choć trochę wyzwolić się z rąk żydów i niemców... A więc, panowie, radźcie co zacząć...

— Ja proponuję fabrykę... przemysł nasz potrzebuje poparcia...

— Cooo!... fabrykę!... to nie interes... I tak już ich zadużo... A przytem... z temi robotnikami, ciągłe zatargi... Nie, nie, panowie... ja pierwszy na tak niepewny interes nie dam pieniędzy... Nigdy...

— I ja nie!...

— I ja nie!...

— I ja nie!...

— A więc może by, panowie, jaki handel detaliczny i hurtowy, na zasadach współdzielczych...

— Co?... myśmy do handlu nie przyzwyczajeni... każdy nas okpi, oszuka... Nie, panowie, i na to nie dam ani grosza...

— Panowie, ja mam złoty interes... On się nam opłaci, i na nim nigdy nie stracimy...

— Co?... co takiego?... Niech Kocio mówi... On ma zawsze dobre pomysły.

— Panowie, powinniśmy iść zawsze z duchem czasu, dbać o to, ażeby kultura europejska dostała się w nasze progi... A więc, panowie, przystąpmy do takiego interesu, który, notabene, kolosalne może dać zyski... Jednem słowem...

— No, do czego, mówżeż prędzej...

— Do budowy wielkiego kabaretu akcyjnego, tego nieciciela światła, pioniera kultury i cywilizacji europejskiej, w naszym zacofanym kraju...

— Brawo Kocio!... Ja daję tysiąc...

— Ja dwa!...

— Ja pięć!...

— Ja pięćset!... Znakomita myśl... Zabierajmy się zaraz do ukonstytuowania wielkiego towarzystwa akcyjnego budowy kabaretów w Warszawie...

* * *

— Towarzystwa współdzielcze są dźwignią handlu... Zagranicą podobno bardzo się rozwijają... Może by się tak zakrzątnąć koło urządzenia ich u nas, co?...

— No dobrze... Masz rację, słuszność... Trzeba coś zrobić!... Będzie to nawet dla dobra kraju... Tak wszyscy narzekają, że nas gnębią Żydzi i Niemcy...

— A więc do czynu... pokażmy co możemy...

— Robiemy zatem towarzystwo współdzielcze, ale czego?...

— A choćby handlu staremi kaloszami...

— Brawo!... Radca będzie prezesem...

— Dobrze... A radca wice prezesem...

— Zgoda... Wszyscy panowie zaś do Zarządu...

— Brawissimo...

— No, a teraz naznaczmy sobie pensje.

— Trzebaby... pamiętajmy tylko o tem, że teraz ciężkie czasy...

— Ano, koniecznie... Prezesowi ile?..

— Zdałoby się choć ze trzy tysiączki...

— Dobrze... Wice-prezes?...

— Ha no, ze dwa pięćset...

— A reszcie rady?...

— Tak po dwa tysiączki...

— No, to już zrobione...
— Ale, panowie, zkąd się na to wszystko wezmą pieniądze?..
— Zkąd?.. przecież udziałowcy dadzą...

*
* *

— Panie redaktorze, przyniosłem artykuł w nader ważnej sprawie społecznej...
— No, jakiej, mów pan...
— W sprawie nadużyć, jakich się dopuszczają żydzi w naszym handlu i przemyśle...
— Co?.. o żydach!.. Panie, czy chcesz pan chodzić w całych butach i jeść co dzień obiad?..
— No chcę, ma się rozumieć...
— No, to nie pisz pan takich artykułów... Żydzi to potęga... cofną nam ogłoszenia i zostaniemy bez chleba.

*
* *

— Panie prezesie, przyniosłem weksel do dyskonta... Firma pewna... należy do kasy... kredyt mój niewyczerpany...
— Ależ z całą przyjemnością... zechce pan się zgłosić za dwa dni...

. . . .

— Panie prezesie, mój weksel odrzucono...
— Ach panie... nie ja decyduję... to komitet dyskontowy... Cóż robić...
— Ale ja na gwałt pieniędzy potrzebuję...
— Nic nie poradzę...

. . . .

— Panie Lichtkopf, potrzebuję pieniędzy... może mi pan weksel zdyskontuje...
— A ci pewne firme?...
— Murowana...

— Ny, dobzie... 3 na miesiąc...
— Ależ panie... To niemożebne...
— Ny, ja nie mogę inaczej... Teraz pieniądz drogi...
— No, niech będzie...

. . . .

— Panie prezesie, mnie panowie ten weksel odrzucili, Lichtkopfowi przyjęli... Przecież on nic niema, nawet na grosz nie jest odpowiedzialny...
— No tak on, ale, widzi pan... jeszcze jedno żyro nie zaszkodzi...

*
* *

— Marjanno, dziś cukier znów droższy... dla czego to?..
— A bo wzięłam u kupca chrześcijanina, na rogu...
— A tyle razy ci mówiłam, żebyś brała w sklepiku, u żyda, tam zawsze taniej...

. . . .

— Ach, Marjanno... pędź po doktora... Aj... aj... boleści, mało nie skonam... Na pomoc...
— To pewnikiem ta mąka, com ją przyniosła ze sklepiku od żyda...
Doktór: Jest pani otruta... Zkąd pani bierze produkty?..
— Od żyda ze sklepiku...
— Mąka sfałszowana...
Wynik: Oszczędność rzekoma na cukrze, mące i t. d. 5 kop., a doktór, lekarstwa i t. p. 5 rb.

*
* *

— Wiecie co, sąsiedzi, możebyśmy tak do współki założyli sklep, gdzieby można było wszystko dostać, lepsze i tańsze, niż u Mośka...
— A no, możnaby, kiej my tego nie umiemy...

— Głupstwo, sprowadzi się towary i będziem sprzedawać... Mosiek zarabia, to i my zarobiemy... A wszystko, co sami jemu sprzedajemy, będziemy wysyłać do Warszawy... On i tak zarabia pono procent...

— Eh, bogać tam... Niech już on tam sobie zarabia, wolemy mu sprzedawać, niż mieć kram i fatygę...

— A możebyśmy sprowadzali i maszyny rolnicze?...

— O, nie... wolemy sprzedawać to, co Mosiek...

* * *

— Wis Magda, pono Aron ustępuje z karczmy...

— No to co...

— A może bym ja wzion jo na siebie... On zrobił pieniądz...

— Oho, już ci śmierdzi wódka, zatracony pijanico... Wszystko byś sam wychlał, a co byś sprzedawał?...

Żydzi:

Ny, ny... nigdy nie miszlałem, coby sze znalazł taki szmiały człowiek, jak ten pan Moryc Rothenberg... To jest cały Napoleon, to jest wielki człowiek... Z jaką to sziłą napisał un do te paskudne goje: milczeć!... Aj... aj... jaki to bohater... I un sze nic nie boi... Un powiedział głośno to, co sobie każdy z nas poczychu miszli... Bo, prawdę mówiąc, to wsistko jest nasze... Jak nie w nature, to w weksel, w gotówkę... Nu, niech mi kto powie, czy może bicz jaki interes bez naszych... czy jaki dziedzic spieda las bez zidka... czy spsieda zboże?.. Nic, jak mu żydek nie pomoże, to nic nie dostanie... Ny, a mięso choczby... wołu, dostarcza im nasz kupiec... Nasz rezak go szlachtuje, i my na koszer bierzem

przód, a uni zjadają zad... Ny, a jakby nasi nie chcieli tego zrobiacz, to coby buło?... Teraz nasze kupcy handlują nawet, pfuj, i z tem szwiniem...

Tak jest ze wszistkiem... Goj lata, ksiczy, opowiada o uczciwość, o swój honor... aj... aj... jaki to towar... niech un sprobuje go spsiedać... Zobaczymy, czy choć grosz dostanie... Ñasi o takich głupstwach nie gadają... Jak można zarobicz, un i uczciwoszcz odstąpi, i honor spsieda... co mu potem... to nie procentuje...

Ale z naszych żaden nie będzie sze kłóczycz, gdy wie, że jest zarobek... Un nawet stróżem zostanie, bylc rubel miał... Uni gadają o różne ideały, społeczeństwo i t. p. A u zidka? jego ideał to rubel w kieszeni, a społeczeństwo całe będzie mu sze kłaniacz, gdy takich rublów będzie un miał wiele...

Ale ten pan Rothenberg szmiały człowiek... Będą goje teraz ksiczeć. Nie kupujmy nic u zidów... Brońmy sze!... Ale mi sze tego nie bojemy... Widzieliśmy już to... poksiczą, poirytują sze, a potem sami do nas przyjdąm...

To już biło... Dla tego to mi sze ich nie bojemy, i szmiejąc sze po czichu, mówimy: milczeć wy, polaki, wy nasze parobki jesteście...

*
* *

— Panie prezesie, mam bardzo dobry interes, może pan do niego przystąpi?...

— A ile sze na nim zarobi?...

— No, conajmniej pięćdziesiąt procent...

— Ny, to jest żaden interes... Daj mi pan taki interes, na którym by sze zarobiała najmniej sto procent...

*
* *

— Słuchaj, Moryc, jest dobry interes, można zarobicz...

— Nu, gadaj, ja gotów jestem zaraz go zrobicz...

— Zróbmy współkę na kupno po czichu, towar skonfiskowany z komory...

— A zoj, geszeft zrobiony... ja go już robię... Tylko czicho, sza, coby nikt nie wiedział... bo bułaby konkurencja...

* * *

— A sołsteloben... ale kamieniczniki to już ostatnią skórę drą z lokatorów... panowie, kupmy sobie dom, i komornem spłacajmy go...

— Co to za geszeft?... Jaki interes?...

— Taki, co my za 20 lat możemy bicz właszczyczelami kamienicy i miecz darmo mieszkania...

— Dobrze... Ja należę...

— I ja...

— I ja...

— Nu, a jakby jaki goj z naszego Towarzystwa chczał wynającz?

— To będzie płaczycz podwójnie...

* * *

— Aj... aj... Aron, co ja szlichałam: Te chamy... te chłopy... Uni chcą założyć sklep i sami wsistko spsiedawać... Ich buntuje ten... ganef... paskidnik... nauczyciel z Rogów...

— Ty sobie, Małke, nie potrzebujesz martwicz... To zaszkodzi tobie na zdrowie..! Wsistko będzie dobrze...

— Jakto będzie dobrze?...

— I ten sklep ich, i wsistko, będzie kiedyś nasze..-

— Ale co ty zrobiasz?...

— Ja?... Dam niższe ceny i będę wódkę sprzedawać... A na wódkę każdy głupi cham poleczy...

. . . .

— Ny, Małke... sklep już jest... Towaru kupili moc... Aj... aj... jak mi sze serce raduje, jak pomiszle, że to będzie nasze...

— Ale jakim sposobem?...

— Ny, zobaczysz... A teraz syp gips do mąki, sodę do kriształ... niech będzie dużo i tani towar...

. . . .

— Nie mówiałem tobie, Małke, co ten sklep będzie nasz?...

— Aj... aj... aj... taki sklep... I tyle towaru... Jak ty Aron sze domiszliłesz, co ten sklep będzie nasz?...

— Jak?... Ja zaraz wiedziałem, co uni zaczną sobie kłóczicz... Ja też skorzystałem z tego, i gdy uni robili plajtę, sklep wziąłem za czwartą część, jego wartości... Ny, a teraz, podosypuje się do towarów różne domieszki i będzie ganc recht... Małke, twój Aron jest już na drogę do majątek...

*
* *

— Ny, Bartek, i czego ty sze boisz... Czi to matula zobaczy, że nie ma dwa—trzy jajki!... A czi tatulo będzie widżiał, jak nie będzie ćwiartki owies.. A ty za to odemnie dostaniesz całą paczkę papierosów... Ny?... nie namiszlaj sze... No, ja już tobie dodam i buteleczkie monopolki... tylko dżyś wieczór psiniesz... A ty, Kaszke... Czego sze boisz... Przyniesz dżyś ze dwoje kurcząt, a może i gęsz... to dostaniesz tę wstążkę, co ci sze tak spodobała...

— Nu... ganz recht!... już ci i na kryzkę dołożę... tylko wybieraj tłuste...

A git geszeft... Powoli, a kupię ten cały majątek... Uczciwe prace moje nagrodzone zostanie...

* * *

— Ny, pan chce poziczycz pieniędzy... Oj... oj... za co nie... może i to bicz... A ile lat pan ma?.. dziewiętnaście...... Ny, to ja nie mogę panu poziczycz... A jak panu na imię? Stanisław... A ojciec pański?... Jan... Ny, to niech pan pisze tu: Jan... Ny, co sze pan namiszla.... Ja nie będę patrzecz.... Ja tego nie widzę... Ja nie potrzebuję tego widżecz... Ganz recht... Ny, ja za te weksle na tysząc rubli, dam panu dwieszcie... Co?... pan nie chce... pan mówi, coby oddacz?... ja nie oddam... ja pójdę z niemi do ojciec pański, do pan prokurator... Nu, zgadza sze pan?.... Tak, to dobrze... Proszę.... Ny, a jakby pan potsiebował, to prosię... Josek Lichtfeld zawsze gotów usłużyć młodym paniczom.... do widzenia... Adju...

* * *

— Lody!... szwieże, żimne lody!... dobre lody, na takie gorąco... Aj... aj... jakie lody... Pani każe dacz... A zoj, a pikes lody... Całe porcje pięć kopiejek... na wafel... a jakże... na wafel...

— Co?... pani czuje boleszczów?... to nie z lody... na pewno nie z nich... Niech uni idą pani na zdrowie...

. . . .

— Ny panie policaj... czego pan chce?... czego pan cząguie... Co?... sto osób otruło sobie mojemi lodami... Nie może bicz... takie fajn lody... Tyle do nich sacharyny wsypałem... i farbe fajn kupiłem w składże na Nalewki... Puszki nie myte....

Panie sędzio... Miłem je... Jak Pana Bogi kocham, miłem przed samą Wielkanocą... Pan sędża każe mnie puścić... Ja biedny żydek... I o co całe awanture robicz... Co sze głupie sto gojów otruło... I tak ich jest jeszcze tyle... Panie sędżo... moje liody biły dobre... Mam dowód... Jaki?... Ny, żaden żidek niemi sobie nie otruł... to już takie gojów delikatne żołądki.

* * *

— Ny, i czego sobie te polaki czisną, kiedy ten Rothenberg ma recht... My, zidki, mamy tych gojów w kieszeni... Uni sobie wstydzą każde prace... każde interes... A mi, wsistko robić będziemy... wsistkiem handlować... ci to ze stare śmate... ci to z koszczi... ci z ziwy towar, ci z brylanty... wsistka ganz pomade... byle rubel buł, to wsistko w porządku... A że my mamy ich wiele, to i możemy, nietylko tym dummes Polaki powiedzieć... milczeć!...

* * *

Litwoki: Nu, tot Rothenberg, to dzielnyj Mensch... Un znajet, kak dołżno być... Un musi bicz z naszych, od litwoków... On znajet: Małczat' i konczeno dzieło... Dielnyj czełowiek... Ja by go poprostu w pristawy machnął... Nu, a tiem wremieniem, niech un się zapisze do Jackana i u niego wstępne statji pisze...

Un i jego broni..... Swój swego poczuje... A imiejet on recht... Eti Polaki, to mało kulturny narod... My przyjechali do nich w gościnę (po prawdzie, to nam kazano przyjechać, grożąc inaczej policjej)... to oni krzyczą, czto my aroganci, pasożyci... Co my pełni pichy... Każdyj za swojewo rubla możet być piszny... A u nas jest ich więcej niż u nich, dlla tego tacy źli...

A przecież kraj ich to kopalnia... Jej Bohu...

ci miejscowe żydki, to wszystko spali i spali, nie znają, czto zołoto u nog im leżyt...

Nu, i my wziali wsio w ruki swoi... Oni dawali towar dobry, solidny... nu, i nie wiele zarabiali... a my?.... Czyż takiemu pokupajuszczemu nie wsio rawno, gdy będzie mieć tekturę na podeszwie, zamiast skóry, lub też bawełnę w materjale, zamiast wełny.

Nu, i my zrobili miljony...

U nas teraz wsio... Cała Polska...

Ma recht etot Moryc Jakowlewicz Rothenberg!

*
* *

— Nu, wy, Moisiej Moisiejewicz.... kak waszi dieła...

— A nu... niczewo... Przyszedł człowiek do Warszawy bosikom prawie, a tieper... i kamienica jest, i czyn... i położenie, wsio...

— Nie... nu... skoro my doszli...

— A no... naszołsia polskij graf, co chciał dom stroić...... ja był podriadczykom...... nu, i wystawił, a i ja sobie niezgorszą kamieniczkę... Bog poszczęścił.. Teraz pan ze mnie... Mecenasem zostałem... I byłoby wsio w poriadku, żeby nie ten senator... Czerti go przynieśli... Cały drżę na myśl, że mogę to wszystko stracić, i jeszcze do kozy się dostać...

*
* *

— Wasze prewoshoditielstwo. Warszawskie sapożniki.... wsio k czortu. Ja dam obuw' lepszą... daleko...... a pry etom, i wasze prewoschoditelstwo....

— Nu ładno, wsio budiet w poriadkie... A mo żeby i zboże... Polskie pomieszczyki nie znają się na interesie.... Mogę i bielja, i sukno.... Nasz brat wsio może... Od tego on i jewrej...

DRUK. E. NICZ I SP. WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 70.

*
* *

— Nu, wy ten artykuł to za słabo napisali...

— Kak to, pan redaktor... ja jego napisał całkiem ganz...

— Wy mnie nie rozumiecie... Trzeba di Polakes zrugać, a nasze żydki bronić... Wtedy i żurnał idiot, i dieńgi jest, i prawitielstwo chwali...

— Nu, już ja Polakow to zrugam... Auf majne munes...

*
* *

— Owsiej Aronowicz.... wy czego taki uradowany?...

— Ny, wi nie wicze.... Aj... aj.... te wsistkie warszawskie jewrei zaczynają coraz bardziej czytać nasze żargonowe gazete...

— Nu, i co z tego...

— Co z tego?..... uni sze powoli przerobią na Litwaków, takich, kak my... I mi sobie wtedy w te Polske nasz Sjon założymy...

*
* *

— Znajetie Rojze Dawidowne, to skandał...

— Jaki, madam Regine...

— Wczoraj, w tramwaj—kakoj to zuchwałyj poljak skazał mi: żydówa...

— Aj... aj... kakoj skandał... Kak uni mnogo sobie pozwalajut... Nado, cztoby prawitelstwo, madam Regina, zrobiła pariadok... A u nas, taki bezpariadok...

*
* *

— Panie, proszę wysiąść... wagon przeładowany...nie ma miejsca...

— Nu, ja znaju... dla nas, ruskich, tu u was nigdy nie potrzebuje bicz miejsce... Aj... aj... czemu pan bije... ja nienaumyślnie... aj... aj...

*
* *

— Nu, co tam, polska sztuka, polski teatr... Iditie na nasze sztuke... do Muranowski teatr, do Elizeum teatr... na „Chinke i Pinke“ na „Mame, Tate i Cores“ to wy uwiditie sztukę...

*
* *

— A wy znajetie dla czego to my, żydzi, mamy pieniędze? Nu, ja wam powiem... Bo mi sze nie bawimy w poezje... Mi nie mamy żadne ojczyzne, żadne społeczeństwo... żadne idee... Dla nas to rubel jest wsio... Ot, i dlatego my mamy, a wy jesteście gołe... Plewat' na wsio... na cześć, na ideały, byle rubel był...

W druku „**Baczność Polacy**“! List robotnika polskiego, do braci robotników.

DRUK. E. NICZ I SP. WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 76.